

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Charakter Robespierre'a

28 lipca 1794

W swej „Rewolucji Francuskiej” Carlyle, który lubi używać homeryckich epitetów zdobiących, nazywa Robespierre'a raz, jak nazywali go współcześni, nieprzedajnym, to znów od jego cery zielonym, jak fale morskie. Szydzi z jego błękitnych fraków i pięknie ułożonych żabotów, z jego wciąż powołującej się na Cnotę (przez duże C) wymowy, z jego takich występów, jak podczas święta Najwyższej Istoty. Carlyle lubuje się w kontrastach. Więc mając zamiar poświęcić Robespierre'owi bodajże pierwszą życzliwą wzmiankę — pośmiertną tak opisuje ostatnie jego chwile:

Wystarczy, aby Fouquier (Tinvilla, słynny prokurator za terroru) stwierdził tożsamość. Jego więźniowie już wyjęci z pod prawa! O czwartej popołudniu ulice Paryża zatłoczone, jak nigdy. Od Pałacu Sprawiedliwości do Placu Rewolucji — bo tym razem znowu w tę stronę jadą furgony — jedna gęsta, ruchliwa masa; wszystkie okna pełne, same dachy i linie, na których spotykają się kondygnacje dachówek, zakwitają pączkami ludzkiej ciekawości — wśród dziwnego wesela. Toczy się furgony śmierci ze swą psurą porcją wyjętych z pod prawa z jakimi dwudziestu trzema ludźmi od Maksymiljana (Robespierre'a) do mera Fleuriot'a i szewca Simon'a. Wszystkie oczy na furgonie Robespierre'a, gdzie on ze szczęką, obwiązaną brudnym płótnem, leży w nieświecie z pół nieżywym bratem i pół nieżywym Henriot'em (wszyscy trzej usiłowali popełnić samobójstwo); ma się pod koniec ich „siedemnastu godzin” agonii. Żandarmi zwracają w jego stronę ostrza szabel, pokazując ludowi, który to. Jakaś kobieta wskakuje na furgon, zaciskając jedną rękę na jego bocznej szciance, a drugą wznosząc, jak Sybilla. Woła: „Twoja śmierć upaja mnie radością!” Otworzył oczy Robespierre. „Zbrodniarzu, zapadnij się w piekło wraz z przekleństwami wszystkich żon i matek!” — U stóp szafotu ułożyli go na ziemię, aby czekał swej kości. Gdy go podniesiono, jego oczy otworzyły się znowu; spostrzegli rudawe żelazo. Samson zerwał z niego frak (błękitny w którym paradował podczas święta Najwyższej Istoty); zerwał brudne płótno z jego szczęki; szczęką opadła bezwładnie, krzyk wyrwał mu się z gardła — ohyda dla uszu i dla oczu. Samson, nie możesz przesadzić w pośpiechu! 1).

I teraz nastąpi kontrast:

Gdy Samson dokonał dzieła, buchnął z tłumu jeden za drugim okrzyk przyklaskujący; okrzyk, co brzmi dalej nietylko nad Paryżem, ale nad Francją, ale nad całą Europą aż do obecnego pokolenia. Zasłużenie, ale i niezasłużenie. O najniebezpieczniejszy z adwokatów z Arras, czyż był gorszy od innych adwokatów? Nie żył w owym wieku mąż skrupulatniejszy wedle swych formalek, swego Credo i swego żargonu, swych zacności, dobroci, swych rozkoszy cnoty i tym

podobnie. Mąż zdolny w jakimś szczęśliwszym, lepiej uporządkowanym wieku stać się jedną z tych nieprzedajnych, sztywnych figur za wzór stawianych i mieć marmurowe tablice oraz pogrzebowe mowy. Jego biedny gospodarz, stolarz z ulicy St. Honoré kochał go, brat jego zaś umarł. Niech Bóg będzie miłosierny dla niego — i dla nas!

Tak nie pisze ktoś, kto chce swym czytelnikom postawić przed oczyma postać moralnego.

FANATYK DEMOKRACJI

Carlyle tworzył swą prozaiczną epopeję o wielkiej rewolucji sto lat temu. Posłuchajmy teraz innego Anglika (francuskiego pochodzenia), Hilarego Belloc'a, który analizował jej postaci i dzieje w r. 1911.

Belloc bardzo słusznie mówi, że istniały dwa obrazy Robespierre'a, zarówno za jego czasów, jak później — Robespierre legendy i Robespierre rzeczywistości. Ale ta różnica, jak widać z dalszego toku wywodów, odnosi się jedynie do wpływu Robespierre'a na przebieg wypadków. Belloc uważa go za figuranta, pod którego firmą rządili inni członkowie Komitetu Publicznego Ocalenia, przede wszystkim Carnot. Ich dziełem był terror, a Robespierre jedynie pragnął być popularnym i wdrygać się przed terrorem, nie występował przeciw niemu jawnie, ponieważ sądził, że sprzeciwiłby się opinii większości narodu. Za tę omyłkę zapłacił głową. Kwestię udziału Robespierre'a we władzy rozstrzygającego, częściowego lub drobnego, musimy zostawić tu na boku. Przytoczmy teraz ów „legendowy” obraz charakteru Robespierre'a, który Belloc uznał za prawdziwy — z wyjątkiem jego władzy:

Wyobraźcie sobie człowieka najszczerzej wyznającego z przekonania czystą doktrynę demokratyczną, człowieka, który nie myślał o niczym prócz urzeczywistnienia tej doktryny, a który nigdy nie poświęcił swego dążenia do jej urzeczywistnienia w państwie jakiegokolwiek osobnej korzyści. Człowiek ten, mając zaufanie, a ostatecznie ubóstwienie narodu staje się coraz bardziej potężnym. Wchodzi do ciała rządzącego t. j. do Komitetu Ocalenia Publicznego, jest panem i wewnątrz i nazewnątrz, tego ciała a władzy swej używa do ustalenia idealnej demokracji, która ma odtąd istnienie Boga i opierać się na cnotach obywatelskiej. Aby ustalić ten ideał musi uciec się do terroru. Odkrywa, że liczba ludzi odstręchujących się od tego ideału wciąż rośnie i karze ich śmiercią. Rzeź zaczyna być potworna; porywa najsłabszych demokratów; ostatecznie już nie można je znieść dalej. W Komitecie buntują się przeciw niemu jego bezpośredni podwładni, zostaje wyjęty z pod prawa, bezskutecznie usiłuje wywołać rewolucję ludową Paryża na swoją korzyść, zostaje stracony, a jego system terroru upada.

Dzieli zdanie Belloc'a, że Robespierre nie był duszą terroru. i Niewątpliwie

jednak uważał się za jego duszę. Stąd obraz jego charakteru nie zależy od tego, czy od lata 1793 do lata 1794 roku rządził we Francji on, czy kto inny. Sądzę, że gdyby zmartwychwstał i gdy by go zapytano, co myśli o sobie, odpowiedziałby mniej więcej tak samo, jak Belloc. Ale obraz byłby wyidealizowany.

FRANCUSCY PROFESOROWIE

Gdy w Trzeciej Rzeczypospolitej po sprawie Drayfussa przyszły do stera żywioły radykalne, zaczęto żywić przekonanie, że stan rzeczy we Francji XX. wieku opiera się na tradycjach wielkiej rewolucji. Stąd zaczęto jej dzieje, nawet dzieje terroru przedstawiać w o wiele lepszym świetle, niż poprzednio. Zaczęto szukać bohaterów pomiędzy największymi z trybunów ludu, którzy działali w Konwencie. Każdy wybierał sobie jedną postać, której przypisywał wszystko, co pozostało dobrego po tym krwawym okresie (a więc ocalenie Francji przed najazdem i wydobyte z niej potężnych sił ukrytych). Reszta, zasługująca na potępienie, była dziełem innych, na których barki zrzucano okrucieństwa, zdradstwa, pompatyczne błazeństwa, intrygi i t. d.

Przez jakiś czas był bardzo rozpowszechniony kult Danton'a — zaświadczyć może pomnik w Paryżu i dramat Romain Rolland'a. Widziano w Dantonie nieustraszonego partoję obdarzonego wszelkimi talentami męża stanu. Robespierre nie mógł dobrze wyjść na tym kulcie jako główny sprawca jego zguby. Albert Mathiez, który wystąpił w jego obronie, woła z emfazą: Nie wiercie Aulard'owi, to osobisty wróg Robespierre'a. Zato sam pisze nieledwie jego apoteozę. Jest to w związku ze skrajnym demokratyzmem i wstrętem do religii objawionej, który Mathiez dzieli ze swym bohaterem.

W pewnych wypadkach posuwa on się tak daleko, że popada w sprzeczności: Zarzuca Robespierre'owi, że wynalazł kult Najwyższej Istoty dla własnych celów. Ale — mówi Mathiez — był on w tym czasie bezsilny, istniała przeciw niemu opozycja w Komitecie bezpieczeństwa publicznego; a uroczystość na cześć Najwyższej Istoty nawet ją wzmocniła. Robespierre poparł tylko cudzy wniosek. Chciał pognać katolicyzm jego własną bronią. — A więc miał jednak jakieś własne cele.

Wedle Mathiez'a Robespierre nie był duszą terroru, był mądrym i uczciwym republikaninem. Tu sąd zgadza się mniej więcej z sądem Belloc'a. Mimowoli jednak mus. Mathiez stwierdzić chorobliwą ambicję Robespierre'a, który wedle niego ściągnął na siebie zgubę, pokłóciwszy się z Carnot'em. Przyczyną niezgody było, że chciał kierować operacjami wojennymi.

NOWA MONOGRAFJA

Nowa książka o Robespierre, napisana przez Anglika, Reginalda So-

merset Warda, zajmuje się nie tyle historią, ile psychologią. Autor zbadał sumiennie wszystko, co mogło przyczynić się do wyjaśnienia rozwoju duchowego tragicznego trybuna i na tej podstawie nazwał swą monografię studjum o stopniowym pogarszaniu się charakteru.

MŁODOŚĆ GÓRNA I CHMURNA

Robespierre pochodził z rodziny prawniczej, jego przodkowie byli sędziami i adwokatami. Stąd owa chęć do ujmowania wszystkiego w normy ustawy, od której niewolno nigdy odstąpić, której litery musi się z całą bezwzględnością przestrzegać. Stąd to wznoszenie się ponad wszelkie uczucia w praktyce wyzbycie się wszelkiego uczucia.

Nad młodością Robespierre'a zaciężyła hańba ojca, który przypieczętował różne nieuczciwe postęпки tajemniczym zniknięciem. Maksymilian czuł się głową rodziny. Pragał zmasać plamę i z tego powodu wciąż myślał o sobie. Z drugiej strony czuł się skrzywdzonym przez społeczeństwo. Kimkolwiek był ojciec i cokolwiek zrobił wina nie powinna spadać na dzieci. Taka była teza pierwszej pracy literackiej Maksymiljana. Zaczął on przeciwstawiać siebie chłodną nieżyczliwością technicznemu otoczeniu i z wolna coraz bardziej zaczął technąć taką samą chłodną nieżyczliwością. Wszędzie upatrywał chęć ubliżenia sobie — i tu było źródło jego niesłychanej dumy i próżności. Na każdym kroku wietrzył zasadzkę, a wiadomo, że lęk czyni okrutnym.

Drugim, równie doniosłym czynnikiem, był Rousseau, który Maksymilianowi zastąpił wszelką religię. Wcielił w życie teorie Rousseau'a! Uszczęśliwić ludzkość bez względu na to, czy ona chce, czy nie chce! Pokazał jej, że młody, lekceważony adwokat z Arras, z którego pokpiwają jako z doktrynera, potrafi stworzyć nową epokę w dziejach, epokę równości, wolności, braterstwa! Oto były myśli, jakie ploszyły się z oczu Maksymiljana. Świat jest zły — trzeba mu przemocą narzucić cnotę. A Maksymilian przy swym braku fizycznych namiętności, przy swym zapamiętaniu w ciele ogólne czuł się cnotliwym, czuł się wyższym nad społeczeństwo. I z wolna zaczął siebie utożsamiać z ideałem, jaki go ożywiał. Człowiek, powołany do jego wcielenia w życie.

ROBESPIERRE JAKO DZIAŁACZ POLITYCZNY

Tego ideałem żyjącego egotystę, pełnego nieufności do ludzi i oschłego, wypadki powołały na szeroką arenę. Obdarzony logicznym rozumowaniem i płynną wymową, zaczął wywierać silne wrażenie na kolegów z klubu jakobinów. Gdy schodził z mównicy, odzywały się wkoło szmery uwielbienia

— a on upajał się niemi i wierzył po-
chlebcom. Zupełnie podobna atmosfera
otaczała go w domu. Gospodarz i jego
rodzina prześcigali się w uprzejmo-
ściach i wyrazach czci, a Maksymilian
spoglądając na swoje portrety i po-
piersia, słuchał muzyki — i obmyślał
sposoby uszczęśliwienia ludzkości. Dla
wypoczynku czytał Racine'a.

Tymczasem dookoła panował zamęt.
Obce armie zagrażały Francji, całe jej
olbrzymie przestrzenie ogarnął pło-
mień wojny domowej. Na terenie Kon-
wentu wylaniają się coraz nowe dąże-
nia — a on, Robespierre nie uznaje
żadnego innego sposobu zbawienia
Francji prócz własnego. Zamęt wy-
zyskuje różne ptaki niebieskie, robiąc
nieczyste interesy, oszukując na do-
stawach, łupiąc zajęte kraje, korzystając
z dewaluacji. Zwolennicy starego
porządku porozumiewają się z nie-
przyjacielem, ciesząc się jego postępami...
A wśród tego morza nieprawości twar-
do stoi skała Cnoty, na niej on, Ro-
bespierre. Kto nie ze mną, ten prze-
ciw mnie! Niech ginie dla wielkiego
ideału. Cnota to ja. I w imię cnoty
wszystko wolno.

PRECZ Z LITOŚCIĄ!

Kamill Desmoulins, który niegdyś
szukał chluby w przydomku prokura-
tora latarni, nawołuje, aby stworzyć
„Komitet miłosierdzia”. Kobiety wy-
syłają do Konwentu doputację, błaga-
jąc o litość dla więźniów. Cóż, kiedy
Cnota a terror to jedno w tych cza-
sach walki, nieuczciwości i niebezpie-
czeństw, czyhających na ludzi, co opo-
wiedzieli się przy cnocie, przede-
wszystkiem na największego z nich,
na samego Robespierre'a... I Robes-
pierre stawia wniosek, aby stworzyć
Komitet sprawiedliwości, któryby śle-
dził za knowaniami i tępił je z całą
bezwzględnością. Danton zachwiał się.
Danton coś również mówi o litości,
Danton'a otaczają aferzyści, Danton
jest zdrajca — precz z głową Dan-
ton'a...

Jeżeli zastanowimy się nad tą psy-
chiką, to dojdziemy do przekonania, że
ostatecznie wszystko jedno, czy Ro-
bespierre rzeczywiście rządził Francją
czy nie. W każdym razie sądził, że
nią rządził i chciał rządzić tak, jak rzą-
dzono w czasie terroru. Idealista zre-
zygnował z przekonania ludzi, z
przemawiania do ich najszlachetniej-
szych uczuć, stał się zwolennikiem
gwałtów. Wróg tyranów przemienił
się w największego tyra. To jego
tragedia wewnętrzna, którą nieubłaga-
na konieczność musiała ukoronować
tragedią zewnętrzną, 9-tym Termidora.
Ward nie wyłącza możliwości, że tar-
gany piekłem, jakie miał w duszy, Ro-
bespierre doszedł do paranoi i zginął
już jako człowiek obłąkany, ale skła-
nia się raczej ku odrzuceniu tej teorii.

CZY ROBESPIERRE USILOWAŁ PO- PEŁNIĆ SAMOBÓJSTWO?

W przedstawieniu wypadków hi-
storycznych idzie przeważnie za wy-
nikami badań Mathiez'a i zbyt bezkry-
tycznie przyjmuje od niego obraz Dan-
ton'a „zezwalającego na każdą zbro-
dnię, zawiśnięgo w każdy spisek, o-
biecującego opiekę lotrom, a wierność
patriotom, zrećnie wyjaśniającego
swą zdradę pretekstem dobra publicz-
nego”.

Tylko w opisie wypadków nocy z
9 na 10 Termidora (27 na 28 lipca) 1794
Ward odstępuje od poglądów Mathiez'a.
Jak wiadomo, Robespierre'a uwięziono
rannego z szczęką strzaskaną kulą
pistoletu. Wprawdzie żandarm Méda
chwalił się że to on zadał tę ranę,
i zawdzięczał nieprawdopodobnemu o-

powiadanu początek swej kariery (u-
marł jako baron cesarstwa). Atoli prze-
waża między historykami opinia, że
Robespierre postrzelił się sam, chcąc
popęłnić samobójstwo. Tego też zda-
nia jest Mathiez. Natomiast Ward u-
waża samobójstwo za psychologicznie
niemożliwe i stawia własną hipotezę:
Siedzący obok Robespierre'a przyja-
ciel jego i współpracownik Lebas o-
debrał sobie życie wystrzałem pisto-

letowym. Można przypuszczać, że Ro-
bespierre'a zraniła ta sama kula.

Hipoteza jest dość nieprawdopo-
dobna, zamach samobójczy zaś zgad-
za się ze sposobem myślenia czło-
wieka, który uważał się za równego
Brutusowi, a widział, że wszystko
stracone.

ROZROST PIERWIASTKÓW OSOB- NYCH

Rzetelną zasługą Warda są nie

przyczynki do dziejów wielkiej rewo-
lucji, ale świetnie skreślony, prawda
psychologiczna i zarys duchow-
wej ewolucji Robespierre'a, w którego
duszy coraz bardziej rozrasta się
pierwiastki osobiste, aż zgłuszy i za-
biły wszystko inne. To najlepsze z
dotychczasowych rozwiązań zagad-
nienia Robespierre'a.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

500-lecie wielkopolskiej parafji

Podniosła chwile przeżywał niedawno
Ostrów Wielkopolski, którego ludność w
przepięknych uroczystościach w obecno-
ści Ks. Kardynała Prymasa Hłonda ob-
chodziła 500-lecie swej parafji. Uroczy-
stości te były głębokim kultem dla tych
postaci, które w ciągu pięciu wieków
przesuwały się poprzez ożywcze pro-
mienie parafji ostrowskiej, jak niemniej
były stwierdzeniem, iż społeczeństwo
miasta Ostrowa łączy się ściśle z Bo-
giem na podstawie zasad wiary i oby-
czaju katolickiego. Zewnętrznym tego
wyrazem była uchwała Rady Miejskiej
miasta Ostrowa, powzięta na uroczystym
posiedzeniu, w czasie jubileuszu para-
fji ofiarująca miasto Ostrów Najśw. Ser-
cu Jezusowemu. „Pomni — głosi ona —
z w dobrej i złej doli Ostrowska Parafja z
miastem i narodem wspólnie błogosła-
wienstwa losu, jako też klęski, dopustu
Bożego spadające, przeżywała, a Naród
on Polski w wierności i służbie Bogu i
Ojczyźnie utrzymywała, „którego po-
stanowienia i uchwałę dnia dzisiejszego
Miastu i Narodowi obwieszczają i podpi-
sami swymi stwierdzają”.

Ostrów, który wśród miast wymienio-
ny jest już w r. 1404, posiadał wtedy
swoją kościół, który należał jednak do pa-
rafji w Wysocku. W trzydzieści lat póź-
niej, gdy Ostrowianie spowodu napa-
dów zbójckich, wielkich wód oraz da-
lekich drogi nie mogli wypełniać swych
obowiązków parafjalnych, uzyskali od
Ks. Jerzego z Ostrowa dokument, zawie-
rający uposażenie nowej parafji w Ostro-
wie. Na utrzymanie plebana przeznaczył
kolator jeden łan z domem i podwórzem
przy kościele, z ogrodem i łąką, położo-
nemi wśród ogrodów i łąk mieszczan-
skich, dalej wspólne pastwiska i wolny
wrąg do lasów pańskich wreszcie dzie-
sięcinę snopkową z trzech okolicznych
folwarków. Skromne to uposażenie nowej
parafji zostało rozszerzone w kilka lat
później dotacją ówczesnego właściciela
Ostrowa, Mikołaja z Ocięża. Przez na-
stępnych lat 60 przeszło, i dowiaduje-
my się niczego o kościele ostrowskim.
Pewne światło na dzieje parafji rzuca
dokonana w r. 1508 wizytacja Jana z Gó-
ry, lecz dopiero druga skolei wizytacja,
dokonana w roku odsieczy Wiednia przez
Jana Gnińskiego w pełniejszym świetle
przedstawia parafję ostrowską. Kościół
ówczesny zbudowany był z drzewa,
wnętrze miał mniej ozdobne, strop
prosty, niesklepiony. — Plebanja skła-
dała się z dwu izb, jednej komory i piwni-
nicy. W pobliżu zabudowań gospodar-
czych stał drugi budynek, zamieniony

na mały browar, przy którym znajdował
się stawek rybny. Pod egidą parafji pro-
wadzoną była szkołka parafjalna oraz
szpital.

W dwa lata po wizytacji ks. Gniń-
skiego Ostrów przeszedł z rąk Kielczew-
skich do Leszczyńskich, z których Rafał,
ojciec króla Stanisława, był jego właście-
cielem. Stary drewniany kościół, trawio-
ny zębem czasu chylił się ku upadkowi,
to też właściciel miasta, ks. Radziwiłł re-
wersem, wystawionym w r. 1779, zobow-
wiązał się wystawić nowy kościół pa-
rafjalny drewniany na podmówianiu,
który też niebawem w kształcie bazyliki
został wybudowany. Sklepienie głównej
nawy było beczkowe, nawy boczne mia-
ły płaskie sufity, dach kryty szkiełkami.

Ciężkie chwile przeżywała parafja po
powstaniu z r. 1848. Komendarem w O-
strowie był wówczas ks. Ruszkiewicz.
Władze pruskie od samego początku nie-
chętnym okiem spoglądały na jego dzia-
łalność. Po ukończeniu walk powstań-
czych landrat ostrowski wygotował prze-
ciw wymienionemu proboszczowi akt
oskarżenia, w którym zarzucał mu, że
naprowadził na miasto powstańców i że
na pogrzebie zabitych wygłosił podbu-
rzającą mowę, a w dokumentach ich zej-
ścia pisał o nich: „zamordowani przez
wojsko pruskie”. W okresie Kulturkampfu
parafja ostrowska pozbawiona była
swojego proboszcza.

Gdy w r. 1904 liczba dusz parafji o-
strowskiej doszła do 15 tysięcy, a stary
kościół już był za mały, zaczęto tegoż
roku budować nowy, murowany. Nastą-
pił złoty okres w dziejach Ostrowa i pa-
rafji, który zaznaczył się największym
w jej dziejach rozkwitem życia religijne-
go, organizacyjnego i kulturalnego. O-
środkiem ożywionego ruchu umysłowego
stał się Parafjalny Dom Katolicki, w któ-
rym urządzano wykłady publiczne, orga-
nizowano koncerty i przedstawienia a-
matorskie. Znalazł w jego murach po-
mieszczenie oddział miejscowy Towarzy-
stwa Czytelników Ludowych, tak, że Dom ten
nazywany był przez ludność niemiecką
„eine Pflanzstätte des Polentums”. Roz-
winęła się w jego murach świetnie tajna
organizacja narodowa, a młodzi konspi-
ratorzy składali przysięgę w tamtejszej
kaplicy. W tym czasie ks. Zborowski na
terenie parafji „założył” jedno z pierwszych
na ziemiach polskich „Ogródki Dziecię-
ce”. Dzięki planowej pracy parafjalnej
mieszkaństwo ostrowskie, polskie i bar-
dzo patriotyczne, rosło szybko w potęgę
materiałną, a dzięki wysiłkom miej-
scowego duchowieństwa, lekarzy, adwo-
katów i księgarzy podciągało się równo-

cznie szybko ku wyżynom kultury na-
rodowej i europejskiej. Dla tych zwłasz-
cza, którzy duszą młodzieńczą wchłanieli
w siebie owe cenne podnieity umysłowe
i kulturalne, przeżyłcia owych czasów
stały się trwałą na przyszłość zdobyczą.

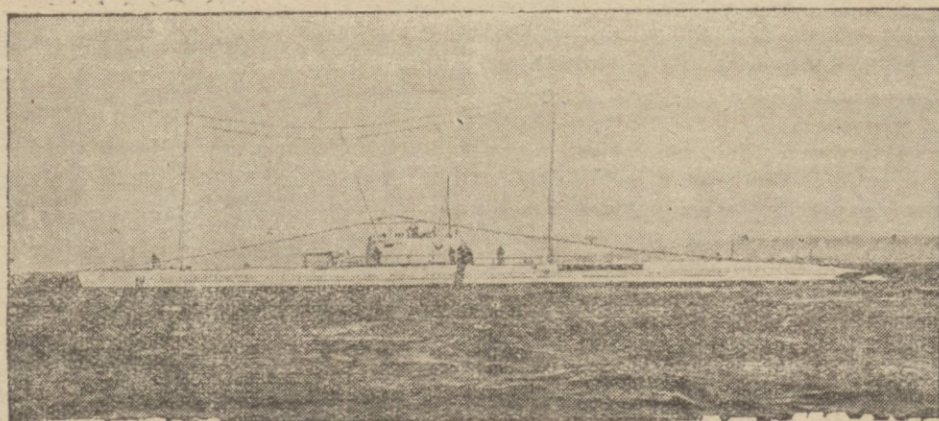
Mimo niesłychanego ucisku katoli-
cyzm i polskość w Ostrowie wkraczały
zwycięsko w progi niepodległego pań-
stwa polskiego. Po wojnie zaszły rady-
kalne zmiany w parafji ostrowskiej. Od-
dzielono od niej parafję w Jankowie
Przygodzkim z osobnym kościołem pa-
rafjalnym. Dla uwiecznienia bohaterskiej
postaci ks. kardynała Ledochowskiego,
który w czasie kulturkampfu spędził dwa
lata (1874 — 1876) w więzieniu ostrow-
skim, wzniesiony został ku jego czci
pomnik, który stanął po lewej stronie
kościółka. Obecnym proboszczem parafji
jest ks. Ludwik Jarosz, wieloletni sekre-
taryz generalny w Archidiecezjalnym In-
stytucie Akcji Katolickiej.

Parafja ostrowska należy w archidie-
cezji poznańskiej do największych, stan-
jej bowiem liczebny wynosił zwyż 31 ty-
sięcy dusz. Mieszany zespół wiernych
wymaga łączenia duszpasterstwa wielko-
miejjskiego, podmiejskiego i wiejskiego.
Niezależnie od tych trudności życie reli-
gijne w tej parafji pozostaje na poziomie
niezwykle wysokim, to też zajmuje ona
wśród innych przodujące miejsce. Dużą
pomocą w pracy duszpasterskiej są lic-
ne w parafji ostrowskiej bractwa, a pra-
ca społeczno - religijna skupia się na
terenie licznych stowarzyszeń, zarówno
na terenie miejskim, jak i po okolicznych
wsiach.

Już niejednokrotnie w czasie zjazdów
historyków zwracano uwagę na potrze-
bę prowadzenia badań z zakresu wew-
nętrznego historii Polski, uwzględnienia
historii lokalnej, zatem kościołów, klasz-
torów, szkół, miast, wsi itd. Poważnym
przyczynkiem w zakresie tego rodzaju
zagadnień jest rozprawa naukowa pł.
„500-lecie parafji”. (1434—1934). Ostrów
1935, pióra znanego historyka, Dra An-
drzeja Wojtkowskiego, Docenta Uniwer-
sytetu Poznańskiego i Dyrektora Biblio-
teki Raczyńskich. Autor całego szeregu
gruntownych i poważnych prac z zakre-
su politycznych i kulturalnych dziejów
Wielkopolski i Poznania w w. XIX,
zwłaszcza z epoki kulturkampfu, posia-
da już za sobą dzieła tej wysokiej miary,
jak: „Edward Raczyński i jego dzieło”
oraz „Historja Towarzystwa Przyjaciół
Nauk w Poznaniu”, poatem cały szereg
większych i mniejszych prac.

Ostatnio zainicjował pracę nad
„Bibliografią Wielkopolski” któreto dzie-
ło, zakrojone na szersze rozmiary, pod
wytrwałym kierunkiem świetnego histor-
jografa Ziemi Zachodnich i wybitnego
znawcy historii Wielkopolski, wyrośnie
do granic pomnikowego, naukowego
przedsięwzięcia. Dodać wkońcu należy, że
wybitny ten historyk związany jest dro-
giemi wspomnieniami z naszym miastem,
wszak w pamiętnym roku wojennym, gdy
wazyły się losy Lwowa i jego przyna-
leżności do Macierzy, Dr. Andrzej Wojt-
kowski jako szeregowiec 1 pułku Strzel-
ców Wielkopolskich, przysłanych na od-
siecz Lwowa przez wierną Wielkopolskę,
wziął udział w całej kampanji, w której
żołnierz wielkopolski w znacznej mierze
przyczynił się podówczas do powodzenia
oręża polskiego.

a. m.



Łódź podwodna O. R. P. „Zbik”

Nieco o polskich ziołach leczniczych

Mniej więcej przed 7 laty polskie rolnictwo znalazło się w wielce krytycznym położeniu. Dziwnym trafem zaczęły padać wszystkie rdzennie polskie warzaty pracy, polskie rzemiosło, polski kupiec, a przede wszystkim rolnik. Wskutkach ziemia polska i nierachomości zaczęły przechodzić w obce ręce, wśród polskiego społeczeństwa wzrosło bezrobocie a na wsi nędza. W ten sposób zrodził się w Polsce problem rolniczy.

Na ten temat rozwinęła się obszerna dyskusja w prasie rolniczej i codziennej, szuka się lekarstwa dla uzdrowienia naszego rolnictwa i znaleziono je w formie oddłużenia. Wątpić należy, czy oddłużenie przeprowadzone kosztem konsumenta przyniesie korzyść rolnictwu i doprowadzi do celu. Rolnictwo leczyć należy od wewnątrz.

Dotychczas nauka rolnicza nawoływała do intensywności w rolnictwie, która wymaga wielkiego kapitału nakładowego, bogatego inwentarza martwego i żywego i bogaciła zagranicę, stwarzając w końcu tak zwaną klęskę urodzaju. Podniesienie techniki rolnej i wydajności gleby zawiodło.

Rolnik bowiem musi umieć nie tylko wyzyskać bogactwa ziemi polskiej, jej faunę i florę, lecz w pierwszej linii musi zorganizować handel produktami rolniczymi, pozbyć się wszelkiego rodzaju pośredników, nawiązać stosunki handlowe w kraju i zagranicą, a wówczas problem rolniczy będzie rozwiązany. Gdy przypatrzymy się życiu rolniczemu w naszym kraju, i stwierdzimy, dlaczego ziemia polska nie bogaci polskiego rolnika, łatwo zrozumiemy, gdzie tkwi źródło kryzysu w rolnictwie. Przykładów, które uplastyczniają tę prawdę jest wiele, i na początek poruszamy sprawę ziół leczniczych.

Produkcja ziół leczniczych w Polsce znajduje bardzo mało zwolenników, natomiast gleba polska, gdziekolwiek zabłądzimy, rodzi wielkie masy i wiele gatunków ziół lekarskich i aromatycznych, których rozum polski nie umiał dotychczas wyzyskać. A przecież nowoczesna wiedza lekarska wraca coraz poważniej i wyraźniej do leków roślinnych dotychczas lekceważonych. To też popyt na zioła lekarskie i aromatyczne wzrasta niebawem zagranicą i obcy przedsiębiorcy często przedkładają Polsce swe oferty na ich dostawę. I mimo tego, że produkcja i wywóz tych ziół może zapewnić rolnikowi poważne dochody, a bilans handlowy naszego kraju może na tem wiele zyskać, działalność na tem polu jest wielce nieznaczna.

A każdy rolnik wie, że rośliny lekarskie i aromatyczne są mało wymagające, gdyż są to przeważnie rośliny dziko rosnące, chwasty, które w walce o byt zahartowały się i odporne, przystosowując się szybko do danego klimatu i gleby. To też udają się wspaniale na nieużytkach, których w Polsce jest aż nazbyt wiele.

Można spotkać się z zarzutem, że dotychczasowe próby tej produkcji w Polsce zawiodły, a nawet przyniosły straty. Tymczasem trzeba stwierdzić, że rolnicza produkcja ziół leczniczych i aromatycznych dała dobre rezultaty, natomiast zawiodły nasze stosunki handlowe, zależne od złej czy dobrej woli pośredników i handlarzy, którzy więcej zarabiają na imporcie lekarstw roślinnych i ziół z zagranicy. W Polsce też nie umiano stworzyć dotychczas prze-

mysłu, któryby przerabiał polskie zioła i dostosował się do wymogów rynku zbytu. Zioła bowiem nie można rzucać na rynek handlowy w formie naturalnej, jak siano, lecz musi się je odpowiednio przerobić, opakować i zareklamować. Z ziół trzeba również sporządzać ekstrakty, różne wyroby perfumeryjne, aromaty, na których francuscy przemysłowcy bogacą się również kosztem Polski.

Polski zaś rolnik musi sprzedawać swój zbiór ziół po cenach niezwykle niskich, a produkt ten handlarze wywożą z dobrym zarobkiem zagranicę po to, by wrócić do Polski w formie przerobionej, a Polacy kupują po przeróbce własne zioła po cenie bardzo wysokiej.

Rolnicy innych krajów postępują inaczej. W Hiszpanii istnieje Komitet narodowy produkcji roślin leczniczych, który podlega generalnej Dyrekcji Zdrowia, i dostarcza rolnikom nasion i sadzonek prowadzi stacje doświadczalne, udziela rady i pomocy, ułatwia zbyć, urządza odczepy i wystawy, wydaje wiele pouczających broszur i pism, popiera materialnie i ustawowo ten nowy przemysł rolniczy i nawiązuje kontakt handlowy z zagranicą. Taką samą akcję widzimy we Francji, w Niemczech i we Włoszech i w innych krajach.

Przemysł ten coraz częściej odnosi się do Polski z zapytaniem o zioła lecznicze, gotów je nabyć za gotówkę we wielkich ilościach, gdyż n.p. przemysł francuski wykazuje zapotrzebowanie miesięczne wyrażające się w milionach

kilogramów. Oferty te jednak przejmują handlarze, a nie wie o nich polski producent, któryby napewno z czasem pod wpływem zagranicy pozbył się wszystkich pośredników.

Obecnie Polska wywozi do Niemiec wiele widłaku (Lycopodium), handlarze zarabiają przytem rocznie około 12 milionów złotych, polski zaś rolnik nie zarabia nawet 5 proc. od tej kwoty. Widłak służy nie tylko do wyrobu lekarstw, lecz znajduje ważne zastosowanie w pyrotechnice zwłaszcza przy odlewaniu bardzo precyzyjnych pocisków. Tak pożądanym i cennym produktem rolnik polski sprzedaje za bezcen w czasach obecnych, gdy rośnie liczba fabryk broni.

Polska dostarcza również zagranicy wiele jałowca, którego wielkie masy idą do Anglii, gdzie fabrykują z niego specjalny napój wysokokowy, wielce ulubiony i zwany tam dżin - viski. Z Polski wywozi się również zagranicę Kore Kruszyny (Rhamnus frangula), z której otrzymuje się wyciąg i sporządza z niego pastylki zwane „cascaris sagradae”; i pigułki „cascarine”, sprzedawane u nas po wysokiej cenie.

Tatarak, który u nas rośnie bujnie i dziko na brzegach stawów i bagien a kandyzowany tak dobrze smakuje dzieciom i starszym, na którym chłopcy wygrywają w Zielone święta różne melodie, uważany u nas za chwast i nieużytek, idzie od nas masami zagranicę i wraca po przeróbce do Polski i sprzedaje się go w naszym kraju po wysokich

cenach, gdyż Polak płaci nie tylko wyrob, lecz również cło i koszt przywozu.

Z Polski wywozić można wiele innych roślin lekarskich i aromatycznych rosnących dziko i dających się łatwo masowo uprawiać, jak np. archangielię, posiadającą przepiękny zapach i wiele innych właściwości. Zioła te dostarczać można albo przemysłowi lekarskiemu, lub perfumeryjnemu a także fabrykom mydła i innym. Również stworzyć można w Polsce nowy przemysł rolniczy, który na pewno liczyć może na zbyć w kraju i zagranicą, zwłaszcza, że polska produkcja mogłaby łatwo konkuruować z obcymi przedsiębiorstwami.

Przecież nie wiele potrzeba wysiłku, i kapitału, by zebrane zioła należycie wysuszyć, pokrajać i odpowiednio opakować. Chemicy zaś polscy potrafią urządzić destylarnię olejków eterycznych, robić wyciągi z ziół i przerabiać je na wyroby perfumeryjne czy inne. Przy sporządzaniu wyciągów oddziela się od olejków eterycznych tak zwana steaopteny, jak mentol, tymol i inne, które znajdują zastosowanie w przemyśle.

Sprawa produkcji i zbytu ziół jest jaskrawym dowodem zależności naszego rolnika od czynników mu obcych, wstrzymujących zresztą i niestety łatwo wszelki rozwój polskiego handlu rolniczego i świadczy o naszej wielkiej niezaradności. Już to samo, że rolnik nie zna nawet wartości swego produktu, nie umie go we własnym zakresie dziać spieniężyć, — rzuca ponure światło na nasze stosunki i poucza nas, gdzie leży źródło upadku polskiego rolnictwa.

D. I. S.

„Robot” wrogiem czy sługą człowieka?

Robot, — człowiek - automat. Epokowy, zdawałoby się, wynalazek dwudziestego wieku. Bezduśna maszyna, dzieło rąk ludzkich, zdolna jednak spełniać najbardziej skomplikowane i odpowiedzialne funkcje z nieomylną precyzją... automat.

Dobrodziejstwo, czy przekleństwo ludzkości?

Oto niedawno dokonano niezwyklego eksperymentu: zakłady niemieckie Junkersa zbudowały samolot z gyroskopem, pilotowany przez robota! Samolot ten, typu Junkers W. 34, przebył sam drogę z Londynu do lotniska Le Bourget pod Paryżem, wykonując szereg trudnych ewolucji w powietrzu. Jakże to wspaniałe wynalazek, nieprawdaż? Ale spojrzymy na odwrotną stronę medalu: czyż nie jest rzeczą łatwą załadować na taki samolot kilkanaście bomb gazowych, które w danym momencie z precyzją zegarka spadną na upatrzonego cel, siejąc zniszczenie?

Toteż niedziw, że francuskie ministerstwo lotnictwa po tej jednej próbie zakupiło kilka modeli takiego samolotu...

Są jednak wypadki, gdy roboty stają się prawdziwymi stróżami i opiekunami człowieka. Dotyczy to zwłaszcza aparatów uzbrojonych w komórkę foto - elektryczną, tzw. „elektryczne oko”. Aparaty podobne wyrabia się fabrycznie, a w funkcjonowaniu swem przedstawiają one prawdziwy „mózg”, zasilany jedynie zwykłym prądem elektrycznym.

Tak więc umieszcza się np. takiego robota w dużych zakładach przemysłowych lub fabrycznych, gdzie praca przy skomplikowanych maszynach przedstawia duże niebezpieczeństwo dla robotnika.

Skoro przez nieuwagę robotnik wsunie rękę pod prasę, kalander, czy maszynę rotacyjną, robot zatrzymuje momentalnie ruch danej maszyny. W innych wypadkach, gdy natchmiastowe zatrzymanie potężnych maszyn jest nie-

możliwe, — robot chwytą nieostrożnego robotnika w swe stalowe ramiona i odrzuca go daleko.

Duże usługi oddają też roboty jako strażnicy odludnych i trudno dostępnych latarni morskich. Tak np. w pobliżu Onessant, na wybrzeżu francuskim robot obsługuje sam latarnię, zapala ją i gasi w oznaczonych godzinach, bez jakiegokolwiek pomocy ludzkiej.

Co więcej odbiera dyspozycje drogą kabli elektrycznych, w razie przerywania się kabla, odbiera rozkazy przez radio, a w razie zepsucia się aparatu radiowego zapala alarmową lampę acetylenową.

Wreszcie daje sygnały zapomocą syreny, skoro tylko mgła zalegnie na oceanie.

Ale ta automatyzacja niezawsze wychodzi ludzkości na korzyść. Robot spełnia wyznaczoną mu pracę, zastępuje człowieka, — ale równocześnie odbiera mu możliwość zarobkowania. Bo pracuje szybciej, bezporównania wydajniej, wymaga niewielkiej obsługi. Wystarczy przytoczyć tu jako przykład — automatyzację telefonów: gdzie poprzednio pracowało czterysta telefonistek, dziś wystarczy czterdziestu elektro mechaników.

W dzisiejszych warunkach, przy szalejącym na całym świecie bezrobociu, tego rodzaju „postęp” wydaje się rzeczą nieco ryzykowną, ze względów społecznych i ekonomicznych. I dziś zaczynamy inaczej patrzeć na tych tak zwanych llońskich, którzy chcieli utopić w Rodanie wielkiego Jacquarda, wynalazcę automatycznej tkalni!

Nie wystarczy nam jednak robot - automat. Idziemy pomału ku zupełnej automatyzacji człowieka. Do owej pracy „łańcuchowej”, polegającej na obrabianiu i montowaniu poszczególnych części składowych, produkowanych w zawrotnym tempie przez maszyny - potwory.

Praca to machinalna, gorączkowa, szarpająca nerwy. Praca, przy której

nie ma miejsca dla ludzi słabych, niezaradnych lub niedość szybko się orientujących.

Co więcej — robot, stworzony przez człowieka, staje się niekiedy jego kontrolerem i nieubłagany sędzią.

Oto siedzi kandydat na maszynistę pociągu pospiesznego. Siedzi przed dużym ekranem, na którym pojawiają się nieoczekiwane sygnały świetlne, białe, czerwone, zielone... Sygnały, używane w kolejnictwie. Siedzi wśród ogłuszającego huku i świstu, mającego nasładować hałas pędzącej maszyny.

I na każdy sygnał musi natychmiast reagować, pociskając odpowiednie guziczki, otwierając klapy, uruchamiając hamulce, — zupełnie, jakgdyby znajdował się na prawdziwej lokomotywie. A biada mu, jeśli się pomyli, lub zbyt długo namyśla: robot rejestruje każdy jego błąd, nie daruje mu ani sekundy! I od wyniku takiego egzaminu zależy uzyskanie posady.

Podobny egzamin przechodzi też kandydat na kierowcę autobusu. Siedzi przy kole sterowym, ma pod ręką wszystkie korbki, dźwignie, pedały, jak w prawdziwym autobusie. Nawprost niego duży ekran, na którym widać biegnącą drogę, z drzewami, mostami, zakrętami, pędzącymi samochodami, wozami, i pieszymi wędrowcami.

Musi bezwzględnie reagować na każde zagrożenie — z ekranu — niebezpieczeństwo w sposób właściwy. I tu znowu każdy jego najdrobniejszy ruch rejestrowany jest automatycznie na specjalnym „chronometrze”.

Inne znów automaty służą do mierzenia siły, zręczności, szybkości orientacji, pamięci wzrokowej, nawet zdolności myślenia... Robot sonduje człowieka do głębi, wydaje o nim decydującą opinię.

Czyż nie jest to zupełna automatyzacja, czyż człowiek nie staje się pomału niewolnikiem aparatu mechanicznego, przez niego samego stworzonego? Jak ów czarownik Goethego co nie mógł sobie dać rady z zaklętami przez siebie samego „złemi duchami”? (n.)

Wierzenia i praktyki magiczne w Indiach

MAGJA A RELIGJA

W zamierzchłej przeszłości człowiek, otoczony zewsząd (jak mu się zdawało) wrogami mocami, czując się zagrożonym niezliczonymi wprost niebezpieczeństwami, szukał ucieczki i rozglądał się za ratunkiem. Potrzeba jest matki wynalazków. Wynalazł — magię. Magia miała go ochronić przed czyhajacymi wszędzie niebezpieczeństwami, zasłonić przed niepowodzeniem, zapewnić powodzenie. Zanim powstała właściwa religia, istniała magia. Poprzednikiem kapłana był czarodziej. Dopiero na wyższym stopniu rozwoju człowieka, wiarę w możliwość wywierania wpływu na siły przyrody i inne — poza nim — stworzenia, oraz niewidzialne moce złowrogie, zastąpił wierzenia religijne, uznając istnienie istot wyższego rzędu, wymykających się spod jego władzy. Wierzenia religijne jednak nie wyparły w całości przesądów magicznych; zależnie od stopnia cywilizacji, pokutowały one mniej lub więcej i nadal. Wiadomo przecież, że i dzisiejszy człowiek, tak chlubiący się właśnie swą cywilizacją, niejednokrotnie przypomina przesadami owego dzikusa sprzed wieków.

I w Indiach starożytnych obok religii istniała magia; świadczą o tym najwyraźniej zachowane zabytki literackie; przede wszystkim t. zw. Atharwa-weda, tj. „Wiedza czarów”. Lecz o tem może innym razem. Dziś zajmemy się — w myśl znanej zasady o rejestrze — raczej tem, co jest, a nie to naturalnie tylko w najogólniejszych zarysach, z pominięciem osobnych gałęzi magii w rodzaju astrologii, chiromancji, oneiromancji (tj. wykładania snów), wróżbiarstwa. Bo i w Indiach wierzenia i praktyki magiczne dochowały się w ogromnej ilości wypadków szczęśliwie do naszych dni.

RODZAJE MAGII

Rozróżnić można także tam dwa rodzaje magii: białą i czarną. Biała ma za cel wpływanie niewinnymi środkami na pogodę, pomyślny wynik zbiorów itp.; czarna — uzyskanie mocy nad drugimi spomocą zaklęć, napojów itp. środków, najczęściej dla celów niezbyt godziwych. Biała magia obejmuje przede wszystkim operacje z zakresu magii „mimetycznej” („naśladowczej”), której zasadą jest tzw. prawo podobieństwa, polegające na tem, iż „czynność podobna wywołuje zjawisko podobne” (np. wylewanie wody — deszcz), że skutek podobny jest do przyczyny. Obok tej magii „mimetycznej”, polegającej na błędnym kojarzeniu pojęć podobnych, istnieje jeszcze magia „sympatyczna”, oparta na prawie kontaktu, które wynika z błędnego kojarzenia pojęć — rzeczy połączonych ze sobą, a rzeka, że rzeczy, raz połączone, oddziałują na siebie i z odległości, po rozdzieleniu się.

Te uwagi wstępne potrzebne są dla należytego zrozumienia podanych niżej przykładów.

MAGJA BIAŁA

By zapewnić sobie deszcz, oblewa się wodą dziewczęta, idące w procesji; ściekanie wody ma zachęcić czy zmusić chmury do wylania nagromadzonych zapasów. Gdy ktoś pragnie uzyskać dobry zbiór bawełny, wyrwa włókno z kilku torebek nasiennych na swem polu bawełnianem i wyciąga je tak długo, jak to tylko możliwe bez przerywania jej; potem całą rodziną napelnia usta ryżem i wydycha go, jak tylko

zdoła najdalej, na wszystkie strony świata: biała bawełna (ryż jest biały!) powinna po takim — dozwolonym — zabiegu wyrósć tak wysoko i na tak wielkiej przestrzeni, jak wysoko i daleko wydychano ziarno ryżu.

W Pandżabie środkiem magicznym, używanym dla usunięcia bezpłodności kobiecej, jest kąpanie danej kobiety nad zwłokami, aby „złapała” duszę zmarłego; albo też kazać jej jeść chleb, upieczony na dopalającym się stosie, na którym palono zwłoki młodzieńca bezżennego — taki nie przekazał życia nikomu — lub jedynego albo najstarszego syna w jakiejś rodzinie, gdyż taki otrzymał w udziale największą dozę żywotności.

Jeden z meczetów w Gudżarat (płn. zachód Indii) ma ściany ze zlepioną, których powierzchnia — po wykruszeniu się cementu, nadgryzionego twardego zębem takomego czasu — jeży się guzami. Ponieważ guzy te wyglądem przypominają wrzody, osoby, cierpiące na wrzody, ścierają owe guzy melasą, aby — w myśl zasady magii mimetycznej — usunąć swe cierpienie.

MAGJA CZARNA

Niektóre ilustracje stosowania magii czarnej dają praktyki z wizerunkami. Czarodzieje pewnego szczepu w Assamie sporządzają z gliny wizerunki osób, którym pragną zaszkodzić i wbijają w nie gwoździe, by wywołać chorobę u danych osób; albo też biorą odcisk śladów stóp danej osoby w glinie i suszą go przy ogniu, aby wywołać febrę u owej osoby. Jeśli Birmijczyk wodzi za nos dziewczyna, zamawia u czarodzieja jej wizerunek; w ten wizerunek wkłada się kawałek czegośkolwiek, nozonego lub używanego przez nią, a potem leki i zaklęcie — i dziewczyna popada w szal. W Bengalu czarnoksiężnik sporządza łuk z kawałka bambusa, którego używano do przytrzymywania ciała na stosie podczas ceremonii palenia zwłok i z tej niesamowitej broni strzela do wizerunku wroga, spreparowanego wśród zaklęć; część ciała, odpowiadająca miejscu wizerunku, ugodzonemu przy tem, staje się pastwą boleści. Indyjcy muzułmanie wytworzyli osobną literaturę zaklęć, używanych przy takich praktykach czarodziejskich. Nawiasem mówiąc, podobne czary praktykowano szeroko i w Europie średniowiecznej, a szczerząco dochowały się one i do dziś, o czem zresztą wiadomo.

CZARY MIŁOSNE

Stałem źródłem dochodu dla czarodzieiów są przede wszystkim — jak łatwo się domyślić (choćby z tego podtytułu) — oczywiście czary miłosne. W Bengalu szczególnym popytem cieszy się środek na miłość, sporządzony z kawałka kości czołowej trupa i owocu trującej datury czy i bieluniu, naturalnie w należyty sposób zmieszany; wystarcza posmarować sobie czoło tą miksturą, aby dostać w swą moc jakąkolwiek osobę, którą posmarowany kocha lub której... się lęka (to zestawienie może się wydać dziwnem, że jednak „coś na tem jest”, zaświadcza ludzkie żonaci).

MAGJA TANTRYCZNA

Dział magii czarnej, jedna z późniejszych, zniekształconych postaci buddyzmu, tzw. tantryzm, rozwinał w osobną wiedzę czy raczej pseudowiedzę stanowiącą karykaturę wierzeń ludowych. Kapłan — mag wyposażony jest tam w ogromną ilość zaklęć, formulek, czarodziejskich figur magicznych itp. i

nie dziwnego, że w takim stanie rzeczy rości sobie pretensję do posiadania mocy — jak powiada jeden z badaczy literatury i kultury indyjskiej, sir. M. Monier-Williams „przepowiadania przyszłości, dokonwania najbardziej zdumiewających cudów, — wlewania życia w martwe ciała, zabijania lub upokarzania wrogów, wtrącania kogokolwiek gdziekolwiek (tj. bez względu na odległość) w chorobę lub szal, zniewalania do miłości, czarowania broni i nadawania jej niechybnej skuteczności, czarowywania zbroi i czynienia jej odporną na wszelkie ataki, zamieniania mleka w wino, roślin w miód — lub też dowolnego odwracania takich procedur (o ile ich dokonał inny czarodziej). Góruje on nawet nad bogami i może zmusić bogów, boginie, diabliki (z wyjątkiem naturalnie drukarskich) i demony do wykonywania jego najdrobniejszych rozkazów”. Nawiasem mówiąc, takie właśnie wierzenia w połączeniu z nauką buddyzmu północnego dały w rezultacie karykaturalną formę religii, panującej w Tybecie.

GDZIE KWITŁA MAGJA?

W epoce dawniejszego buddyzmu oraz późniejszego braminizmu tj. w ostatnich wiekach przed naszą erą i pierwszych po niej, główną siedzibą magii w Indiach było pogranicze północno - zachodnie, zamieszkaną przez szczepy niezbyt cywilizowane. Że taki stan rzeczy trwał i nadal, świadczy relacja jednego z licznych buddyjskich pielgrzymów chińskich, którzy odwiedzali Indie jako ojczyznę Buddy: mianowicie Hsien-Cang, podróżujący po Indiach w połowie w. VII, opowiada o talentach czarnoksiężników ludzi tamtych stron. Zresztą jeszcze słynny podróżnik włoski w. XIII. Marco Polo zapewnia, że tamtejsze szczepy znały się niegorzej na czarnoksiężnictwie i sztukach diabelskich.

Podobnie było na przeciwległym krańcu Indii, w Assamie. Pewien historyk indyjski, przedstawiający dzieje rządów cesarza Aurangzeba (1659—1707)¹⁾ donosi, że w Assamie „plekność kobiet jest niezwykła; ich magia, czary, umiejętność używania zaklęć oraz kuglarstwo, są większe aniżeli sobie można wyobrazić. Mocą magii budują domy, których słupy i powaly są zrobione z ludzi. Ci ludzie pozostali przy życiu, lecz nie mają siły oddychać ani poruszać się. Mocą magii zamieniają także ludzi w czworonogi i ptaki tak, że dostają ogony i uszy, podobne do zwierzęcych. Zdobywają serce każdego, kogo tylko zapragną i czynią go wolnym sobie. Mogą przepowiadać ruiny i zatrzymanie się planet, drożyznę i potaniecie zboża (to przydałoby się bardzo i dziś — znów przyp. tłum.), długość i krótkość życia każdego.”

MALABAR, ELDORADO CZARÓW

Najsilniejszą twierdzą magii był jednak Malabar, wybrzeże południowo-zachodnie kraju. Logan, autor 3-tomowej monografii o Malabarze, wydanej pod koniec ub. w., nazywa tę część Indii „krajem czarnoksiężstwa i magii par excellence”. Daje opis przeróżnych praktyk magicznych, jakie przetrwały tam do dziś. Malabarczycy sporządzają np. z wosku wizerunek wroga i palą go wśród ceremonii czarnoksiężskich; wykopują na cmentarzu kość ludzką, recytują nad nią zaklęcie i wrzucają do domu sąsiada. Jest to magia czarna, szkodliwa. Według w'erzeń Malabarczyków, można zapewnić sobie usługi demonów w sposób niezbyt trudny:

bierze się zwłoki dziewczyny, umieszcza je w niedzielę w nocy pod drzewem, zamieszkaną przez demona i powtarza stosowne zaklęcie sto razy. a demon wstąpi w zwłoki i ożywi je; jeśli go nakarmić mięsem i napoić wódką (i demony lubią przepłukać gardło), odpowie na zadane mu pytania i przepowie przyszłość. Kto zdobędzie władzę nad demonem w taki sposób, może go z sobą obnosić, a nawet — gdy uzna za stosowne czy pożyteczne — odstąpić za odpowiednim wynagrodzeniem innemu czarodziejowi.

JESZCZE PÓLNOC MAGJA DMUCHA

Na równinach północnych magię reprezentuje czarodziej, zwany odzha, posiadający wielkie wzięcie wśród szczełów niecywilizowanych. Głównym jego zawodem jest zaklinanie chorób. Odbyna się to tak: Odzha spala przed pacjentem ziola o silnej woni, mające wykurzyć złego ducha, lub też dla zalenia diabłu sadła za skórę, wy-ciska choremu do oczu pewną dozę gryzącej cieczy, albo wreszcie skrapia go gorącą oliwą, kazać wymienić ducha, który spowodował nafi chorobę. Następnie, zwróciwszy się ku wschodowi, rozbiera się do naga, mruczy głośno, jakby licząc, ilu diabłów maczało tu rękę, sy-pie pęk trzciny na chorą część ciała pacjenta dla odstraszania ich, a wreszcie kaze dać sobie dwie sztuki drobin, które ma złożyć owym duchom w ofierze — aby je skłonić do pójścia sobie precz, — a które faktycznie sam zjada.

„NIEMA WIELKOŚCI BEZ CZARÓW”

Człowiek wielki czy bitny, któremu się wszystko wiodzie, uchodzi niejednokrotnie w oczach ludu za czarownika czy charakternika. Cesarzowi Akbarowi (1556—1605)²⁾ władcy indyjskiemu, który bodaj niewiele albo i wcale nie ustępował Napoleonowi, vox populi przypisywał czarnoksiężskie moce: tylko dzięki nim mógł przecie zdobywać twierdze za twierdzą. Jeden zaś z historyków indyjskich krajowych donosi, że, gdy Kompanja Wschodnio-Indyjska chciała odwołać Warrena Hastingsa, wielce zasłużonego rządcę Bengalu (w drugiej połowie w. XVIII)³⁾ i wysłała jego następcę do Indii, Hastings — zabił go czarami.

E. Słuszkiewicz

„Science Advisory Board”

Stany Zjednoczone A. P. przeżywają obecnie jakąś gorączkę naukową. Zagadnienia ekonomiczne schodzą chwilowo na plan dalszy, a opinia publiczna interesuje się wyjątkowo żywo ostatnimi odkryciami i wynalazkami z dziedziny nauk ścisłych.

Niemal przyczyniło się do tego przyznanie nagrody Nobla z dziedziny medycyny i chemii uczonemu amerykańskiemu.

Jakkolwiek odkrycia te mają za zwyczaj znaczenie raczej czysto teoretyczne, ściśle naukowe, — to jednak rząd bada je pod kątem widzenia praktyczności i użyteczności. Do tego celu służy utworzone przez prezydenta Roosevelta tzw. „Science Advisory Board” instytucja poświęcona „ocjonalnym studjom w tym kierunku”.

Jednym z ostatnich sukcesów tej instytucji jest zorganizowana od 1-go stycznia br. służba prasowa telefotograficzna, dzięki czemu można w ciągu czterech godzin dostarczyć kilkudziesięciu dziennikom w rozmaitych miastach drogą telefotograficzną cały, gotowy materiał informacyjny. Jest to rowy zupełnie typ dziennika fotografowanego, stanowiący niemal przewrót w dotychczasowej technice wydawniczo - drukarskiej.

O kulturze podświadomości

Spośród obecnie rozpowszechnionych metod psychoterapii zasługuje na uwagę autosugestia, mająca już szeroki rozgłos.

O ile sugestji, stosowanej względem kogoś, można by zarzucić czasami, że prowadzi do nadużyć, autosugestia wolna jest od tej winy, gdyż właśnie opiera się na krytycyzmie względem obcych wpływów i ich unika.

Do rozwoju teorii i praktyki autosugestji przyczyniła się najbardziej tzw. „Nowa Szkoła z Nancy“, powstała na drodze ewolucji idei, podanych przez dr. Liebeault i prof. Bernheima. Propagatorem i popularyzatorem tej szkoły był **Emil Coué**, słynny ze swej społeczno-lekarskiej i filantropijnej działalności. Skromny farmaceuta, rozpoczął swą praktykę psychoterapeutyczną z początku w gronie znajomych, a gdy skutek okazał się nadspodziewany, musiał ją rozszerzyć na tych wszystkich, co się tłumnie zjeżdżać zaczęli do niego z całego świata. Czynił to przytem bezinteresownie. Poczucie dobra, któremu służył, było dlań zapłatą jedyną, od każdej zaś innej wymawiał się stanowczo. Mawiał przytem: „Nie myślcie, bym był lekarzem i uleczył kogokolwiek z was. Podaję tylko łatwy sposób, byście się mogli leczyć sami“.

Okolo Couégo - praktyka skupiła się lekarze tacy, jak: Fauvel, Vachet, Vi-riot i Prost z Paryża, Lestchinsky, Castanié i Richard ze Szwajcarii. Monier Williams z Londynu itd., — zaś teoretykiem współczesnym tego kierunku jest **Ch. Baudouin**, profesor uniwersytetu w Genewie.

Przykłady chorób, wyleczonych autosugestją, są zadziwiające. Jest ich bez liku. Rany zastygające, astma, nawet gruźlica itp. najbardziej uporczywe dolegliwości ustępują po jej zastosowaniu w krótkim czasie.

CO TO JEST „AUTOSUGESTJA“?

Na czymże polega autosugestia?

Na tej zasadzie, sprawdzonej doświadczalnie przez szkołę w Nancy, że gdy skupiamy uwagę na jakiejś myśli, dotyczącej zmiany stanu ciała czy duszy, to myśl ta skłonna jest do urzeczywistnienia się w praktyce, oczywiście w granicach fizycznie osiągalnej możliwości.

Urzeczywistnienie to dokonywuje się mimowiednie, a właśnie dlatego że praca nad urzeczywistnieniem myśli odbywa się w podświadomości i rezultat rzadko kiedy bywa natychmiastowy, pracy tej nie spostrzegamy od razu. Aby wywołać pożądaną skutek, należy kierować się według prof. Baudouin następującymi prawami psychologicznymi, przez niego ustalonymi:

Prawo pierwsze powiada, że:

Tylko ta myśl dąży do urzeczywistnienia na drodze autosugestji, na której została skupiona całkowicie uwaga świadomego lub podświadomego.

Według tego prawa, opartego na doświadczeniu, myśl nasza wywołuje w pewnych warunkach siłę, która przez pracę wewnętrzną podświadomą urzeczywistnia cel powzięty.

Siłą tą możemy kierować odwołnie: złą myśl zastąpić przez dobrą, lub dobrą wzmocnić, stosując ją w odpowiednich warunkach a skutek nie omieszka okazać się po pewnym czasie.

W praktyce jednak sprawa nie jest tak prosta, jakby się to zdawało na pierwszy rzut oka, gdyż prawo przyto-

czone o uwadze skupionej musi się nieraz może przez inne prawo o wysiłku odwrócić. To drugie prawo głosi, że: Jeżeli nasza uwaga zawładnęła myśl jakąś ujemną od której chcemy się oswobodzić, wysiłki woli, skierowane ku temu, potęgują tę myśl jeszcze bardziej i aktywują złą sugestję. Tak np. jeżeli będziemy się starali skupić uwagę na jakiejś myśli dodatniej, mającej zastąpić ujemną, ta ostatnia będzie się uwydatniała tembardziej, im więcej wysiłku woli nato zużyjemy. W tym wypadku należy odwrócić złą myśl natarczywą, nie uciekając się do wysiłku, a więc bez nałożenia woli.

Ta sama trudność powstaje nawet w tym wypadku, kiedy sugestja nasza ma na celu tylko wprowadzenie dobrego, a nie wykorzenie złego wpływu poprzedniego, a to dlatego, że na każdy wysiłek składa się jednocześnie, obok wyobrażenia o powziętym celu, także i to drugie: o trudności w pokonywaniu przeszkody, i to ostatnie wyobrażenie może unicestwić wpływ poprzedniego lub nawet przemóc go.

Stąd przychodzimy do tegoż wniosku, co i poprzednio:

Wysiłek woli musi być usunięty i skupienie uwagi twórczej powinno się dokonywać bez wysiłku.

TECHNIKA AUTOSUGESTJI

Pierwszym tego warunkiem jest zupełne rozluźnienie mięśni przy jednoczesnym zajęciu najwygodniejszej pozycji ciała na fotelu lub na łóżku).

To rozluźnienie fizyczne sprzyja odprężeniu władz umysłowych i wprawia nas w stan podobny do tego, jakiego doświadczamy nieraz w czasie poprzedzającym sen lub następującym po nim. Są to chwile, kiedy jesteśmy skłonni do marzycielstwa; — podświadomość wówczas wynurza się niejako na powierzchnię. A właśnie myśl nasza, aby się móc urzeczywistnić, musi wpięć korzenie w swemi uczyć się tej podświadomości, wrócić w nią, co stanie się wtedy, gdy dostęp do niej znajdzie ułatwionym.

Nie należy jednak pozwolić umysłowi naszemu bujać w marzeniach dowolnych, gdyż wówczas będziemy dalecy od tego skupienia uwagi, jakie wywołać zamierzamy. Trzeba, aby w tych chwilach odprężenia umysłu i woli udało się nam skupić uwagę bez wysiłku na jednej tylko myśli, wyrażającej cel sugestji. Jeżeli w stanie zwyczajnym — wysilamy się nieraz, by myśl zatrzymać, to tu — odwrotnie — myśl winna przykuwać nas do siebie sama przez się i to jaknajdłużej.

Dopomóc mogą do tego bądź dźwięki jednostajne lub ruchy miarowe i wahałowe (np. szmer strumyka lub chwiejny płomień kominka) — bądź rytmiczne czynności własne (np. bujanie się na krześle, przesuwanie paciorków różańca), bądź wreszcie myśl sama, ujęta w krótkim zdaniu, a powtarzana miarowo i rytmicznie, niby kołysząca nas do snu. Myśl ta powinna mieć siłę atrakcyjną taką, by ona to pochłaniała naszą uwagę i panowała nad nią, nie zaś odwrotnie, a przytem sam proces myślenia musi się odbywać machinalnie, biernie, jak gdyby pomimo naszej woli.

Wywołana w ten sposób autosugestia będzie szczególnie skuteczną, gdy ją praktykować będziemy na chwilę przed zaśnięciem lub zaraz po obudzeniu.

Aby zapobiec rozproszeniu, może być pożytecznym powtarzanie zdania na głos, półgłosem lub szeptem, poru-

szając przytem wargami, ruch, towarzyszący przy tem nadaje pewną trwałość myśli, raz po raz skierowując naszą uwagę do niej i przykuwając nas do jej treści.

Praktyka wskazuje, że dość jest kilku minut, poświęconych codziennie zrana i wieczorem takiemu oddawaniu myśli, by po kilku czy kilkunastu dniach działanie jej wykazało znaczny skutek.

Myśl musi być podana w formie zwężonej, by powtarzanie nie wymagało wysiłku. Nie należy też wyszczególniać zdań, które podświadomość ma wykonać. Dość jest wskazać tylko cel i to w formie najbardziej ogólnikowej, by drogę i środki znalazła ona sama. Matematycy wiedzą, że nieraz mając jakieś trudne zadanie do rozwiązania i napróżno siląc się przez cały wieczór, by tego dokonać, znajdowali zrana po obudzeniu się rozwiązanie we śnie, chociaż nie umieliby wskazać, jakimi drogami ono przyszło.

Pożytecznem będzie także i w ciągu dnia znaleźć kwadrans czy pół godziny dla poddawania sobie tej samej myśli w stanie zupełnego spoczynku.

Myśl powinna być podawana w formie pozytywnej i w trybie czynności, dokonywanej w czasie obecnym. Kiedy np. ma się tremę lub gdy lęk nas ogarnia, nie należy mówić: „nie boję się“, lecz: „mam odwagę“. W różnych niedomaganiach fizycznych i moralnych Coué radzi powtarzać: „Jest mi coraz i coraz lepiej pod każdym względem“.

W danym razie nie ma to charakteru pospolitego wmawiania w siebie czegoś, co nie istnieje, skoro pierwiastki odwagi lub zdrowia tkwią w nas niewątpliwie i chodzi tylko o to, by je ujawnić, ugruntować i rozwijać.

AUTOSUGESTJA A RELIGJA

Autosugestia, jako sam wyraz i metoda, wydaje się jeszcze czemś nowem dla niektórych psychologów. Jednak pojęcia w niej zawarte i jej praktyka są już dawne, jak dawna jest natura ludzka.

Święci np. stosowali modlitwę sugestijną, zalecaną przez Kościół, jako akty strzeliste.

Dla św. Franciszka Searfickiego jedyną modlitwą na górze Alwernji były słowa: „Bóg mój i wszystko moje“. Św. Katarzyna Sieneńska zalecała córkom swym, by po kilkadziesiąt razy i więcej odmawiały jeden i ten sam akt strzelisty, koncentrując na nim całą swą myśl i uczucie.

Wogóle metody autosugestji są bardzo często stosowane w różnych sposobach i praktykach modlitewnych. Czyniliśmy to dotąd bezwiednie, dziś jednak mechanizm tego procesu staje się już dla nas po części zrozumiałym. Bo jeżeli dusza nasza i ciało w pewnych warunkach łatwo ulegają wpływom myśli naszej własnej (t. j. autosugestji) — dlaczegoż przy tożsamości warunków nie mają ulec działaniu myśli Bożej (t. j. teo-sugestji).

Musiaby tu zachodzić zastosowanie tegoż samego prawa, skutek zaś byłby o tyle donioślejszy, o ile większą jest przyczyna w nas działająca.

Zastrzec się należy, że rozpatrywalimy dotąd tylko techniczne podobieństwo ćwiczeń pobożnych, modlitwy i kontemplacji do metod autosugestji, polegające na tem, że tu również wymagane jest skupienie wszystkich władz duszy i poddanie ich całkowite działaniu Bożemu przy doskonałym wyrzuceniu się z woli ludzkiej. „Duch kędy chce, technie“ kończy, bo pamiętać należy, że żadna

czynność nasza własna nie może sama przez się wytworzyć w nas stanu łaski lub sprowadzić go. Łaska jest darem nadprzyrodzonym, darmo danym, jest aktem woli Bożej, więc nie zależy od woli ludzkiej. „Duch kędy chce, technie“ — powiada Pismo (Jan 3).

Gdy jednak odporność natury naszej utrudnia działanie w nas myśli Bożej i zagraża dostęp łasce, możemy i powinniśmy posługiwać się modlitwą w sposób tak umiejętny, by poddawać podświadomość naszą wpływowi myśli Bożej i łaski Bożej.

Stosowanie modlitwy na wzór autosugestji nie będzie wykluczało pierwiastka nadprzyrodzonego, działającego w nas w sposób boski, chociaż poddawania się temu działaniu dokonywujemy na sposób ludzki.

O pracy podświadomości mówi nam Ewangelja: „Tak jest Królestwo Boże, jak gdyby człowiek rzucił nasienie w ziemię. A spałby i wstawał w nocy i w dzień, a nasienieby wschodziło i rosło, gdy on nie wie. Bo ziemia sama z siebie owoc rodzi, naprzód trawę, potem kłos, a potem pełne ziarno w kłosie“. (Mar. 4)

Przypowieść ta wskazuje, że podświadomą część natury naszej winniśmy uprawiać, jako niwę Pańską, siejąc w nią słowo Boże w sposób właściwy i odpowiedni. Jako rolnik w swej pracy na roli posługuje się metodami agromomji, tak też i chrześcijanin przy uprawie duszy własnej winien używać metod psychologii.

Wzrost wiary zależy od ogólnej kultury naszej, a więc nie tylko od kultury świadomości samej, t. j. umysłu i woli, ale także i od uprawy tych władz, które mianem podświadomości określamy.

W kraju katolickim żądamy kultury nie tylko wiedzy i myśli, ale też i duszy całej, t. j. pobudek i instynktów, odruchów mimowiednych i ocen mimowolnych — jednym słowem kultury naszej podświadomości, poddanej dobrym wpływom.

Dopiero opanowanie tej dziedziny da nam, katolikom, zwycięstwo stanowcze i zupełne.

Lecz gdzie są środki do tego?

Leżą one w arsenale Kościoła. Różaniec, litanie, akty strzeliste, pobożnie odmawiane — oto ów środek skuteczny — broń nasza, przed którą psychologowie chylą czoła.

Kto jednak pragnie tą bronią władać, musi wpięć zdobyć umiejętność obchodzenia się z nią.

Uczą nas tego obecnie, prócz przykładów świętych, także i zdobycze współczesnej psychologii.

Zapoznać się z niemi byłoby zadaniem wierzącej inteligencji

LITERATURA:

Ch. Baudouin: Suggestion et Autosuggestion, éd. Delachaux et Niestlé, Paris, 1922.

E. Coué: La maitrise de soi-même, Paris.

Największa grota na świecie

W Azji centralnej w górach Chaldymiru, znajduje się największa grota na świecie. Jest to właściwie cały kompleks mniejszych i większych grotych, z których niektóre mają 70 metrów długości, dwadzieścia szerokości, a czterdzieści pięć wysokości.

Groty połączone są podziemnym korytarzami, a otacza je mrok prastarych legend arabskich.

Od paru lat władze sowieckie przystąpiły do naukowego zbadania tych tajemniczych a trudno dostępnych grotych, noszących poetyczną nazwę Kon - i - gut, co oznacza „źródło zatury“. Nie znaleziono w nich legendarnych skarbów, ale bogate złoża cynku, manganu i srebra, oraz ciekawe obiekty archeologiczne.

Aureli Napoleon Urbański

Dzieje powstania styczniowego mają swoją bogatą literaturę, poczynając od rozmaitych „Pamiętników” spisanych przez uczestników powstania. Mamy obszerne prace historyczne na ten temat (A. Słowińskiego i J. Grabca) mamy długi szereg utworów poetyckich, nowel i powieści, który zainicjowała Rodziewiczówna („Pożary i zgliszcza”, „Byli i będą”), a który znalazł najpiękniejszy swój wyraz artystyczny w utworach Żeromskiego („Echa leśne”, „Rozdział nas kruki, wrony”, „Wierna rzeka”).

Natomiast literatura dramatyczna nie może pochlubić się żadnym dziełem o nieprzemijającej wartości artystycznej, — godnym stać w jednym szeregu z „Nocą listopadową” czy „Warszawianką”.

W dziedzinie dramatu znajdujemy co prawda kilkanaście pozycji, — są to jednak utwory w których wyraźna szlachetna tendencja i gorący patriotyzm nie idzie w parze z miarą i klasą talentu autorów. Rzeczy powstałe raczej okolicznościowo, niemal pod bezpośrednim wrażeniem przeżytych wypadków.

Wymienić tu należy: Józefa Korzeniowskiego „Nasza prawda”, Leonarda Sowińskiego „Na Ukrainie”, Franciszka Lasockiego „Trylogię” (Przed wybuchem, — Całopalenie, — Po pogromie), oraz Trylogię A. Urbańskiego.

Dopiero czterdziesta rocznica powstania styczniowego dała świeży impuls naszej twórczości dramatycznej. W r. 1903 pojawiają się dramaty: Jerzego Żuławskiego „Dyktator”, Zapołskiej „Sybir” i Lucjana Rydla „Na zawsze”. Wreszcie w roku 1908 wychodzi „Mściciel” Juliusza Germana.

Pisząc o twórczości dramatycznej na tle powstania styczniowego warto przypomnieć postać Aurelego Urbańskiego, autora wspomnianej powyżej „Trylogii”.

Aureli Napoleon Urbański urodził się we Lwowie 27 marca 1844, jako syn doktora filozofii Wojciecha, dyrektora biblioteki Wszechnicy lwowskiej.

Natura to była bujna, niepróżnoważna. Po ukończeniu gimnazjum wstąpił na wydział prawa i administracji, — zagrożony jednak chorobą płucną przerwano studia i jedzie na kurację do Gleichenbergu.

Po powrocie zapisuje się jako słuchacz do Instytutu medyczno - chirurgicznego na Uniwersytecie lwowskim. Ale medycyna mu nie odpowiada: przenosi się wkrótce na wydział filozoficzny, gdzie studiuje matematykę i historię literatury.

Równocześnie pracuje jako stypendysta w Ossolineum i tam zaczyna też swoje pierwsze próby na niwie literackiej. Po ukończeniu studiów zostaje nauczycielem, by wkrótce już porzucić tę posadę. Wreszcie przychodzi „ustatkowanie”: Urbański obejmuje skromną początkowo posadę w Wydziale Krajowym, dochodząc stopniowo do rangi zastępcy naczelnika Oddziału Rachunkowego.

Ale praca w Wydziale Krajowym nie mogła mu dać zadowolenia wewnętrzznego. Było to zbyt monotonne i suche zajęcie dla jego bujnej natury prawdziwego „cygana artystycznego”. Już jako 19-letni młodzieniec pisze pierwszy swój dramat, przyjęty i wystawiony na scenie Skarbowskiej.

To zdecydowało o jego dalszej karierze. Staje się fanatykiem teatru, którego kulisy wywierają na niego nieprzeparty, dziwny urok. Jest jednym ze założycieli „Towarzystwa przyjaciół sceny”, organizuje we Lwowie szkołę dramatyczną, obejmując w niej wykłady języka polskiego.

Przez jakiś czas sprawuje nawet funkcję sekretarza teatru, za dykcją W. Smochowskiego. Jest w swoim żywocie: bierze czynny udział w życiu tego świata teatralnego, do którego zawsze coś go ciągnęło... Ale nie na długo. Ustawiczne nieporozumienia i zatargi z Janem Dobrzańskim, zięciem dyrektora kończą się wreszcie ustąpieniem pana Aurelego.

Nie rezygnuje jednak ze swych aspiracji literacko - artystycznych. Jest bardzo czynnym członkiem Koła literackiego, niesłychanie popularną osobistością w mieście, bierze żywy udział w życiu umysłowym Lwowa. Pisze dużo i publikuje swe utwory dramatyczne i poezje w „Ruchu literackim”, w „Strzesze”, „Dzienniku Mód” i innych pismach.

Pan Aureli... starszy pan z charakterystyczną bródką, zawadajacko podbręconym wąsem i falistą czupryną... Wszędzie go pełno, na obchodach zebraniach, uroczystościach.

W dzień otwarcia teatru Skarbowskiego pod nową dyrekcją Komitetu „Przyjaciół Sceny Narodowej” wygłasza długi prolog na cześć „Żywego słowa”, którego kapłanką jest „Sztuka Narodowa”.

A w wolniejszych chwilach pracuje nad przekładem poezji Heinego, napróżno szukając nakładcy... Aż znalazł go... w Złoczowie, u Żyda Zuckerkandla.

Zewnętrzny wygląd charakteryzował doskonale naturę i usposobienie Urbańskiego. Człowiek to był o męspozbie energii, pełen wigoru mimo podeszłego już wieku. W pięćdziesiątym siódmym roku życia idzie po raz drugi w konkury. I właśnie, gdy gotował się do ślubu, zapowiedzianego już na niedzielę, — na trzy dni przed wyznaczoną datą zmarł nagle, dnia 13 czerwca 1901 roku. Śmierć zaskoczyła go w nocy. Jako przyczynę śmierci ustalił lekarz skleroze.

Dorobek literacki Urbańskiego przedstawia się wcale pokaźnie: 26 utworów

scenicznych, parę tomików poezji, tom szkiców (Z za kulis i ze świata) i wspomniany już wyżej przekład Heinego (Romancero).

Wszystkie prawie utwory te pokrył już dziś pył zupełnego zapomnienia, — czy to będą komedje (Podłotek, Wojna z kuzynkiem, Huragan, Pochód z pochodniami i in.), czy rzeczy poważne, jak Serce i dusza, Ziemowit, Watażka, Autorka.

Nas więcej interesuje jego Trylogia z 1861—1863 roku na którą składają się dwie krótsze rzeczy: „Na poddaszu” i „Dramat jednej nocy”, oraz pięcioaktowa „rzecz dramatyczna”: „Pod kolumną Zygmunta”.

„Na poddaszu”, to poemat dramatyczny o wyrażonej tendencji społecznej, a tematem jego jest zdrada sprawy narodowej przez młodego robotnika. Ze samym powstaniem styczniowym rzecz ta nie ma właściwie żadnego związku.

Tożsamo powiedzieć można i o „Dramacie jednej nocy”, mającym jednak silne efekty sceniczne i dającym parze artystów sposobność do popisania się w dwóch czołowych rolach.

„Pod kolumną Zygmunta”, to rzecz zakrojona na szerszą skalę. Ale pomyślana zupełnie niefortunnie, o fabule najwęższej, niemożliwie naciąganej. Czegoż tam niema? Jeden krąg, jedno zaczarowane koło konfliktów między miłością Ojczyzny, a miłością osobistą: Bohater Gustaw kocha — idealnie szlachetną żydówkę Jahelę, do której pała interesowną brudną miłością szpieg żyd Rubin, a w której ponadto kocha się szlachetny pułkownik rosyjski Siergiej. A jakby i tego jeszcze było za mało, Gu-

stawa prześladowuje swą namlettą a bezwzględną miłością podstarzała hrabina Aleksja, Rosjanka, siostra pułkownika.

Co więcej — właściwymi bohaterami sztuki, których autor stale wysuwa na plan pierwszy, są... żydzi, szlachetny dostojny starzec Natani i jego córka, owa Jahela.

Urbański w ostatnim akcie wykorzystuje tu nawet motyw, obrabiany już poprzednio przez innych pisarzy (Karola Balińskiego, Zygmunta Felibowicza): w czasie pamiętnej demonstracji pod kolumną Zygmunta każe Natanemu podjąć krzyż zitym krzyżem w rękę zginać — dla wielkiej wspólnej sprawy.

Pomijając już bardzo niską wartość artystyczną całego dramatu, jego wady kompozycyjne i naiwność fabuły, — stwierdzić trzeba, że z samem powstaniem styczniowym nie ma on właściwie nic wspólnego. Błąkają się w nim echa romantyzmu, a postaci Natanego i Jaheli rażą sztucznością i egzaltacją.

Można rozumieć szlachetną tendencję Urbańskiego, który w dramacie tym chciał pokazać nam zespolenie „chłopskiej” siemki i „żupana żydowskiego” w służbę dla wspólnej Matki — Ojczyzny. Toż w usta Natanego wkłada takie słowa:

i nam i wam wydarto Ojców ziemię i nas was z torbami w świat za oczy wyroki pędzą srogię...

Tyś nas do swego przysparzała łona, jak matka... Oto przy twojem ognisku spoczął Izrael wolny i bezpieczny...

Ale właśnie przez takie postawienie sprawy „Pod kolumną Zygmunta” traci wszelką wartość historyczno - literacką. Zostaje próbą nieudolną i ciekawym przyczynkiem do poznania i charakterystyki twórczości A. Urbańskiego. (k. r.)

Vincenzo Bellini

Całe Włochy stoja obecnie pod znakiem wielkich uroczystości muzycznych, organizowanych ku uczczeniu setnej rocznicy śmierci jednego z największych kompozytorów i najslawniejszych synów swej ojczyzny: Wincenciego Belliniego.

Wszystkie większe teatry od Katanji poczynając, a na Medjolanie i Genewie skończywszy, wystawiają z pietyzmem jego opery, które w swoim czasie tak entuzjasmowały tłumy, przynosząc autorowi powodzenie i sławę, sięgającą daleko poza granice jego ojczyzny.

Dzisiaj Bellini poszedł potrochu w zapomnienie. W muzyce nowe prądy poczęły torować sobie drogę, — coraz też mniej artystów mogących pochlubić się owym „bel canto”, jakim olśniewała niegdyś taka np. Malibran.

Vincenzo Bellini urodził się w listopadzie roku 1801. Był najstarszym w licznej, bo złożonej z siedmiu dzieci, rodzinie. Zdolności muzyczne zaczął objawiać bardzo wcześnie: jako sześciolatek chłopiec komponuje już pierwszy swój utwór „Tantum ergo” i zaczyna pisać scytyljskie piosenki.

Rodzice wysyłają go do Neapolu. Ośmastoletni chłopak dostaje się do konserwatorium, pozostającego pod dyktando znanego pedagoga i kompozytora Zingarelliego. Niewiele się tam nauczył, — poza zasadami harmonii i kontrpunktu.

Ale już bezpośrednio po wyjściu z konserwatorium pisze pierwszą operę „Adelson e Salvini”, przyjętą bardzo łyczliwie.

W następnym roku, 1826, teatr San Carlo w Neapolu wystawia jego operę Bianca e Gernando, którą gruntuje swoją sławę.

(Nawiasem wspomniamy, że tytuł opery, brzmiały pierwotnie „Bianca e Fernando”, musiał być zmieniony na życzenie... cenzury, bo Fernando było imieniem ówczesnego panującego!)

Następne lata, — to okres nieprzerwanych triumfów i sławy.

Bellini tworzy niemal co roku nową dzieło; pojawiają się kolejno: Pirata,

Straniera, Somambula, Norma, Capulet i Montecchi, Beatrice di Tenda, i wreszcie ostatnia jego opera, wystawiona wiosną 1835 w Paryżu: Puritani.

Dziewięć oper, — dziewięć lat twórczości i wyjątkowego prawie powodzenia. Bellini zarabia przez ten czas ogromne stosunkowo sumy które jednak wyrzuca z młodzieńczą lekkomyślnością.

Jest mile widzianym w najlepszych towarzystwach. Piękny blondynek, o falujących włosach i błękitnych oczach, pieszczony przez kobiety, ma serce niezwykle czule na ich wdzięki.

Ma kochanki zarówno ze sfer artystycznej medjolańskiej, jak i ze świata teatralnego. Zwłaszcza głośną się staje jego miłość do „trzech Judyt”, z których jedna, Judyta Pasta, była znakomitą śpiewaczką, druga młodem dziewczęciem, a trzecia żoną bogatego przemysłowca Turina.

Kobieta i miłość, to były dwie dominanty w życiu Belliniego. Kobieta dawała mu natchnienie — pod wpływem i wrażeniem swych przeżyć miłosnych z uroczą Judytą Turina napisał swą „Normę”.

I dziwna rzecz: właśnie na pierwszym przedstawieniu „Normy” spotkał się Bellini z przyjęciem nieprzychylnym, ba, nawet z głośnień sykaniami i gwizdaniem. Była to złośliwa zemsta jego dawniejszej kochanki, hr. Samoilow, która zorganizowała formalne sprzysiężenie, by sztuce „położyć”.

Po triumfach we Włoszech jedzie Bellini do Londynu, przyjmowany tam owacyjnie. Stamtąd przenosi się do Paryża, gdzie też pozostaje aż do śmierci. Znowu zaczyna się bujne, wesołe życie.

W Paryżu poznaje słynną gwiazdę opery, Marię Malibran, najlepszą ówczesną rolę. Ostatnia to wielka miłość w życiu artysty, — miłość bez wzajemności. Malibran bowiem widzi w nim tylko artystę którego wysoko ceni, ale serce swe oddała innemu.

Bellini umarł po paratygodniowej chorobie w Pateaux pod Paryżem, dnia 26 września 1835.

Staraniem Rossiniego i garstki blichskich przyjaciół pochowany został na

mentarzu Pere Lachaise, skąd zwłoki jego przeniesiono w r. 1876 do jego rodzinnego miasta, Katanji na Sycylii.

Bellini był pierwszym we Włoszech prawdziwym, urodzonym dramaturgiem muzycznym.

Zachwycał się kompozycjami Pergolesiego i marzył o stworzeniu dzieła takiego, jak „Stabat Mater”.

Równocześnie zdawał sobie doskonale z tego sprawę, że opera włoska cierpiała przede wszystkim na brak dobrego, odpowiedniego libretta. „Dajcie mi dobre wiersze, a dorobię do nich piękną muzykę” — mówił stale.

Na tym punkcie poszczęściło mu się również. Znalazł doskonałego librecistę w osobie poety i pisarza Feliksa Romani. Rozumieli się wzajemnie i kochali. Romani układa libretta, stosując się ściśle do wskazówek kompozytora, przerabia je i poprawia niezliczone razy. Tak więc Bellini — podobnie jak potem Wagner — był właściwym twórcą nie tylko muzyki, ale i tekstu, który dopiero Romani ubierał w ostateczną formę.

Dzieła jego stanowią niemal epokę w rozwoju opery włoskiej, która wyzwalając się z dotychczasowych, konwencjonalnych formulek, obracających się w kole popisowych ary i scen ensemblovych, daje początek nowoczesnemu dramatu muzycznemu.

Odczuwał to i oceniał należycie Richard Wagner który nie tał swego zachwytu nad dziełami Belliniego.

Muzyka Belliniego oparta na odpowiednio, rozumnie dostosowanym tekście, pełna liryzmu, podbija swą szlachetnością, bezpośredniością i melodyjnością. Można by jej zarzucić, że sama melodia góruje nad innymi czynnikami kompozycyjnymi, dziś szerzej uwzględnianymi, jak polifonia i instrumentacja. Ale w okresie, kiedy Bellini tworzył, była ona świeżym powiewem prawdziwej sztuki, a wywarła niezatarty wpływ na twórczość artystyczną jego następców.

Była żywa, szczerą, płynęła z serca i dlatego trafiała do serca.